

A podobno Polak, Rusek i Niemiec...

Krzysztof Gottesman

Na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku przestały się w polskich gazetach, radiu i telewizji ukazywać ostrzeżenia przed muchomorem sromotnikowym. Cenzura zabroniła, bo zbyt silnie kojarzyły się z towarzyszami z Biura Politycznego PZPR Zofią Grzyb i Stanisławem Kanią.

Zakazane też było pisanie o kampanii antyalkoholowej prowadzonej w wojsku. Ważnymi dowódcami byli wówczas generałowie Oliwa, Baryła i Żyto.

Historie, choć smakowite, pewnie nie do końca są prawdziwe, może nawet były to tylko dowcipy. Ale wyrosłe na prawdziwym podłożu. A to podłoże da się streścić w jednym zdaniu: w życiu publicznym Polski Ludowej jednym z najważniejszych kanałów informacyjnych były dowcipy i plotki. Oficjalne środki masowego przekazu, bo tak wówczas nazywano media, zajmowały się przede wszystkim propagandą, przekonywaniem, że jest bardzo dobrze. Internet i media społecznościowe – choć to trudne do uwierzenia dla młodego pokolenia, ale tak było – nie istniały. Ich rolę, bo życie społeczne zawsze potrafiło wynaleźć odpowiednie formy, wypełniały właśnie powtarzane w domach i w pracy dowcipy, plotki i pogłoski.

Były to drogi, jak by powiedzieli socjologowie, społecznej komunikacji, a mówiąc prościej – zaspakajania najważniejszych, odwiecznych i podstawowych ludzkich potrzeb – ciekawości i chęci zdobycia informacji.

Pogłoski i plotki towarzyszyły Polakom przez całą PRL. Mówiły, co się dzieje na szczytach władzy, czego można się spodziewać po najbliższym plenum komitetu centralnego PZPR, jaka jest sytuacja ekonomiczna. Z pogłosek też się dowiadywaaliśmy, kiedy się pojawiają w sklepach pomarańcze, a kiedy meble. Jak powstawały plotki? Było bardzo wiele ich źródeł. Przeciuki od lepiej poinformowanych, wiadomości z Wolnej Europy i BBC. Ważnym źródłem było umiejętne czytanie oficjalnych gazet, rozszyfrowywanie stosowanej przez nie nowomowy. Jeżeli w „Trybunie Ludu” długo nie pisano o jakimś ważnym towarzysz, to można było podejrzewać, że coś jest z nim nie w porządku. Wówczas pojawiały się plotki, że towarzysz np. Grabski popadł w niełaskę. I rzeczywiście, bardzo często przychodziło potwierdzenie plotek. Ale też nie wprost, szkoła Orwella wypuszczała przecież dobrych absolwentów. W tej samej „Trybunie”, a często także w „bezpartyjnym” „Życiu Warszawy” pojawiał się w rubryce „Kronika kadrowa” komunikat, że Rada Państwa (to taki zbiorowy peerelowski prezydent) mianowała nowych ambasadorów. A wśród nich jest kto? Towarzysz Grabski, który pojedzie na placówkę do NRD. Zazwyczaj większość zmian kadrowych – poza politycznymi trzęsieniami ziemi – odbywała się w ten sposób. Nominacja na ambasadora lub inne mało ważne stanowisko albo rezygnacja ze względu na stan zdrowia. Jakby się nic nie stało.

Czerpiąc z takich między innymi źródeł, tworzone plotki, pogłoski, interpretacje, przypuszczenia. O tym, czy partyjni liberalowie idą w górę, czy raczej dołują, bo tryumfuje beton; jak się mają „partyzanci”, jak „puławianie”; czy kupimy licencję Fiata, czy Citroena. Jest otwarcie rozmów z Kościołem, bo Wyszyński dostał paszport, czy raczej drzwi zostały zamknięte. Czy można się spodziewać amnestii dla politycznych, bo Urban na konferencji mniej pluł jadem, czy to tylko mydlenie oczu. I tak dalej, i tak dalej.

Tak się zaczynały również wielkie przełomy. Robotnicy Wybrzeża już na ulicach Trójmiasta protestowali przeciwko podwyżkom cen, a w gazetach jeszcze pisano o dyskusjach w partyjnych komitetach. Od małego gazetowego komunikatu o „zakłóceniu ruchu ulicznego na Krakowskim Przedmieściu w rejonie Uniwersytetu Warszawskiego” zaczął się studencki Marzec. W tym czasie aktyw robotniczy już regularnie pałował młodzież nie tylko na Krakowskim, lecz także na dziedzińcu uniwersytetu.

Jeszcze inną formą orwellowskiego informowania, a także reagowania i wywoływania plotek, były tzw. przeglądy prasy. Z takich przeglądów, zwłaszcza prasy zachodniej, dowiadywaaliśmy się na przykład o konflikcie między komunistami sowieckimi i chińskimi czy najpierw o postępach Praskiej Wiosny, a później, niestety, jej pacyfikacji.

No i dowcipy. Nie był to peerelowski wynalazek. Były – i są – zawsze. Więcej – w wielu z tych dowcipów zmieniali się tylko bohaterowie. Byli nimi Bierut, Gomułka, Gierek, Jaruzelski. Choćby taki, pojawiający się przy kolejnych jubileuszach PRL. Hasło emerytów na dziesięć-, dwudziesto-, dwudziesto-

pięcio-, trzydziestolecie: „Popieramy partię czynem, umieramy przed terminem”. Ale były też indywidualne. O Stalinie, że taki był dobry, bo skazał tylko na Gułag, a mógł przecież zabić; o Gomułce, który życzył inżynierom, by w przyszłości produkowali już nie tylko półprzewodniki, ale i całe.

I słynne dowcipy o milicjantach. Choćby pytanie: dlaczego nie jedzą oni ogórków konserwowych? Bo bardzo trudno jest włożyć głowę do słoika. Listę można ciągnąć w nieskończoność. Jedne były lepsze, inne mniej udane. Ich niepowtarzalność polegała przede wszystkim na tym, że pokazywały nastroje; pozbawione oficjalnego przymusu – odkrywały rzeczywistość.

Gdy sobie przypominałem teraz dowcipy, gdy wracała pamięć o peerelow-

skich gazetach, przyplątało się do mnie słynne gogolowskie pytanie: z czego się śmiejecie? Bo chociaż we wszystkich dowcipach o Niemcu, Rusku i Polaku na bezludnej wyspie zawsze zwyciężał Polak, a w konfrontacji partyjniaka

z szarym obywatelem zawsze górą był ten drugi, to jednak, chcąc nie chcąc, wiedząc o tym czy nie wiedząc, śmiałyśmy się także z siebie. ■

Krzysztof Gottesman – dziennikarz i publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN

